

Legenda zmonetyzowana do cna

Nie ukrywam, że uważałem po lekturze „Dzieci Húrina”, iż niżej już upaść nie można w merkantylnym wykorzystywaniu sławy własnego ojca. Ale ostatnia publikacja – będące oczywistą gratką dla wszystkich przemierzających uniwersum stworzonym przez J.R.R. Tolkiena – udowodniła, że byłem w błędzie – pisze Juliusz Gałkowski o książce „Upadek Gondolinu”.

Gdy Tolkien pisał swoje słynne zdanie: „W pewnej norze ziemnej mieszkał sobie pewien hobbit”, nie miał najmniejszego pojęcia, do jakich rozmiarów urośnie świat, który zaczął kreować na marginesie studenckiej pracy. Nie miał także pojęcia, że jego syn będzie człowiekiem o najpojemniejszym strychu na świecie – bo jakże inaczej określić człowieka, który co kilka lat „odkrywa” kolejny rękopis sławnego ojca, redaguje go i publikuje. Przy okazji zgarniając niezłą sumkę...

Nie ukrywam, że uważałem po lekturze *Dzieci Húrina*, iż niżej już upaść nie można w merkantylnym wykorzystywaniu sławy własnego ojca. Ale ostatnia publikacja – będące oczywistą gratką dla wszystkich przemierzających uniwersum stworzonym przez J.R.R. Tolkiena – udowodniła, że byłem w błędzie.

Istnienie tajemniczego Gondolinu, królestwa ukrytego w górskiej dolinie, w pisarstwie Tolkiena było jedynie zasygnalizowane. Był to jeden z najlepszych pomysłów pisarza fantasy, polegający na tym, że czytelnik dowiadywał się, że wszyscy bohaterowie znają legendę o wielkim onegdaj, ale już upadłym, królestwie. Zamieszkałym nie tylko przez potężnych wojowników, ale także wybitnych mistrzów rękodzieła.

Bardziej rozbudowaną historię upadku królestwa Gondolin przedstawił pisarz w *Silmarillionie*, czyli zarysie historii Śródziemia (jak określane jest uniwersum tolkienowskie), zredagowanym ostatecznie przez jego syna Christophera. Wciąż toczą się spory w jakim stopniu była to redakcja, a w jakim kreacja. Tym bardziej że z listów Tolkiena-seniora można wnioskować, że bynajmniej nie uważał tej książki za ukończoną.

Pod względem wartości literackich żaden tekst, który wyszedł spod pióra Christophera Tolkiena nie osiągnął poziomu Hobbita czy Władcy Pierścieni

Niemniej sukces, także merkantylny, publikacji zachęcił Tolkiena-juniora do dalszego dyskutowania sławy swego ojca. Zaczęły się pojawiać kolejne książki „odkrywane i redagowane” przez

Christophera Tolkiena, które rozwijały kolejne wątki – pięknie zasygnalizowane we wcześniejszych książkach. Dotyczy to przepięknej historii miłosnej, czyli Berena i Lúthien, czy – najsmutniejszej ze wszystkich historii – opisującej losy potomków Húrina. Nie można jednak ukrywać, że pod względem wartości literackich żaden tekst,

który wyszedł spod pióra (lub – jak głosi oficjalna wersja – jedynie zredagowany na nowo) syna nie osiągnął poziomu *Hobbita* czy *Władcy Pierścieni*. Zatem owe publikowane kolejno teksty można traktować jako suplementy rozwijające obraz Śródziemia, ale można mieć poważne wątpliwości, czy wolno o nich mówić jako o kolejnych działach najsłynniejszego Inklinga.

Upadek Gondolinu opisuje historię, gdy do ukrytego królestwa wkracza Tuor, wysłany przez jedno z bóstw. Ma on za zadanie nakłonić mieszkańców do opuszczenia swego schronienia i wyruszenia do odległego królestwa Valarów, będącego odpowiednikiem Edenu z Biblii. Władca Gondolinu Turgon odmawia i tym samym przypieczętowanie los swego kraju. Ta odmowa mogła skutkować tylko jednym – dolina zostaje odkryta i zniszczona przez armie Melkora, w mitologii Tolkienowskiej ucieleśnienia zła i wroga ludzi i elfów.

Jest to historia, którą można by przedstawić czytelnikowi, wykorzystując talent epicki, ze wspaniałymi opisami walk i bohaterstwa oraz małości i zdrady. Są tam sceny pozwalające pisarzowi wykreować przepiękne i wstrząsające wizje – godne opisowi bitwy na polach Pelennoru z *Władcy Pierścieni*. Jednakże nie starczyło autorowi talentu i mając tego świadomość, postanowił on zredukować formę do naśladownictwa staronordyckich sag. I być może nie byłoby to takie złe, gdyby nie niemalże automatyczne zestawianie z rozmachem dzieła Tolkiena-ojca.

Ani upadek wieży, w której broni się Turgon, ani pojedynki elfickiego wojownika Glorfindela ze złowrogim Balrogiem nie budzą emocji w czytelniku, i nie pozwalają mu na utożsamianie się z bohaterami. A bez

tego cała epickość książki staje się miętka i bliższa amatorskim filmikom z Youtube niż imponującym epejom literatury fantasy. Temat zdaje się najzwyczajniej na świecie zmarnowany.

Tym bardziej że Christopher Tolkien postanowił w tomie umieścić kilka wersji opowieści o tajemniczym królestwie i jego końcu, od pierwszych notatek J.R.R. Tolkiena po własną ostateczną opowieść. I tak naprawdę trudno jest dojść, po co tyle tych wersji (żadna nie jest ani dobra literacko, ani ciekawa), które tak naprawdę nic nie dodają do naszej wiedzy o świecie, gdzie żyją elfy, ludzie, orkowie i hobbici. Jedynym wytłumaczeniem zdaje się być tylko to, że wydawca płaci więcej za grubszą książkę.

W ekonomii istnieje pojęcie monetyzacji, które w języku potocznym nabrało znaczenia wykorzystywania możliwości i zasobów do zarabiania pieniędzy. Syn sławnego uczonego i pisarza postanowił zmonetyzować sławę ojca. Przy okazji osiągnął dno... nie tylko pisarskie.

Juliusz Gałkowski

J.R.R. Tolkien, *Upadek Gondolinu*, pod redakcją Christophera Tolkiena, przełożyła Agnieszka Sylwanowicz, wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2019, s. 280, okładka twarda